№ 25. Warszawa, dnia 11 (23) Czerwca 1888 roku.




Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

**W Warszawie** rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalne, rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

# SABINA.

## RZEŹBIARKA.

### LEGENDA ALZACKA

NAPISAŁA

WŁ. z R. J.

---

Mówiąc o Erwinie, pierwotnym twórcy fasady w Strasburgskiej katedrze, niepodobna pominąć milczeniem legendowej postaci córki jego, Sabiny rzeźbiarki.

Podanie przypisuje jej najpiękniejsze posągi i kolumny aniołów, zdobiące zewnątrz i wewnątrz południową stronę świątyni. Spojrzyjmy na dwie wysmukłe figury, zdobiące wejście do portyku rzymskiego, których opracowanie jej przypisują. Możnaby mniemać, iż w rzeczy samej ręka kobieca rzeźbiła te dwie postacie pełne głębokiej melancholii. Podanie o Sabinie powstało być może z napisu znalezionego u stóp dziś zepsutego posągu, czytano w tych słowach.

„Gratia divinae pietatis adesto Savinae, de petra dura per quam sum facta figura”.

Co znaczy:

„Łaska i miłosierdzie Boże niech będą z Sabiną, przez którą z kamienia wzrosłam w statuę”.

Ztąd powzięto zapewne mniemanie o istnieniu rzeźbiarki, a gdy rzeźba jest córką architektury, dano jej za ojca Erwina.

Napróżno dowodzeniami usiłowano zmienić to podanie.

Dusza Alzacka wymarzyła dziewicę, pracowitą, niezmordowaną, pogrążoną w swym śnie kamiennym i wydającą ostatnie tchnienie u stóp statuy, której dała najlepszą cząstkę swej duszy, swego istnienia.

Wiele dziewcząt Alzackich poznać możemy w Sabinie, która pracowała, wierzyła, nietracąc nadziei.

Żyje ona i żyć będzie tak długo, jak długo stać będzie świątynia.

Spojrzyjmy jednak na miasto, które się rozsiadło wkoło katedry i przypomnijmy ważniejsze epizody z historyi jego.

Strasburg był od najdawniejszych czasów, jednym z najpotężniejszych miast, budzącem zazdrość swoją wolnością.

Karta wolnego istnienia nadaną mu została w roku 980.

Aby przywilej ten utrzymać, potrzeba było niejedną wojnę stoczyć z książętami Niemieckiemi i Burgundzkiemi, z panami Alzacyi, którzy z głębi swych rezydencyi w Wogezach, zazdrościli miastu pomyślności jego.

Najświetniejszem zwycięztwem jakie Strasburg odniósł było otrzymane roku 1262 po nad Walterem de Gerolstein, od którego zaznacza się jego wolność municypalna.

Dotąd istniało miasto pod protekcyą biskupów, szukając w ich charakterze religijnym spokoju i opieki.

Znalazł się jednak biskup wyjątkowo nieprzychylnie dlań usposobionym i walka się rozpoczęła.

Walter de Gerolstein był wyniosłym despotą, dumnym bez miary. Zaledwie wyświęcony na arcybiskupa Moguncyi, odbył wjazd tryumfalny do miasta.

Nie był to już biskup obejmujący w posiadanie dyecezyą, ale monarcha wchodzący do swej stolicy.

Przed nim szli uzbrojeni heroldowie, niosący na piersiach herb Gerolsteinów, w zastępstwie godeł miasta, co dotknęło do żywa mieszkańców Strasburga. Za niemi postępował biskup, na wspaniałym białym rumaku, dozwalając widzieć rycerską zbroję, pod długim płaszczem biskupim.

Po za nim cwałowała na koniach szlachta Alzacka, każdy z panów miał po za sobą stajennego i pazia.

Od czasów Karolomana nie widziano podobnie wspaniałego pochodu. Przybywszy do ratusza miejskiego Walter, chciał wydać nowe prawa i obciążyć mieszkańców nowemi podatkami. Napróżno radni magistratu przedstawiali mu, że to

było przeciwnem zwyczajom Strasburga, zagroził rzuceniem klątwy na miasto.

Gdy urzędnicy miejscy ogłosili tę wiadomość ludowi, podniósł się jednomyślny krzyk oburzenia.

Mieszczanie pochwycili broń, korporacye utworzyły milicyę, kobiety uderzyły w dzwon na trwogę.

Cały lud Strasburga w obronie praw swoich stanął pod bronią, oświadczając iż nie uznaje takiego pana.

Biskup zmuszonym był opuścić miasto, a powróciwszy do swego zamku rzucił interdykt na Strasburg, i zamieniwszy mitrę na kask, wezwał całą szlachtę alzacką przeciw zbuntowanym mieszczanom.

Wojna skończyła się pamiętną bitwą pod Hausbergen, gdzie wojsko złożone z bednarzy, kowali i cieśli, rozproszyło rycerzy okutych w zbroję biskupią.

Walter, który walczył na przedzie miał trzy konie pod soba zabite i umarł z rozpaczy po przegranej.

Tym sposobem Strasburg odzyskał dawne swe prawa.

Uczucia honoru, niezależności i braterstwa, jakie się ujawniły w małej respublice Strasburga, dzięki jej urządzeniu umiarkowanemu, dały miejsce wielu rysom oryginalnym.

Najsławniejszym z tychże, jest pamiętna podróż mieszkańców Zurychu w roku 1576. Miasto Zurych, chcąc dowieść przyjaźni bratniemu Strasburgowi, przyrzekło mu podarek w zupełnie nowym rodzaju.

Przygotowano barkę, w jakiej umieścili się pierwsi urzędnicy miasta i wiosłując przybyli w dzień jeden przez Limalt i Ren. Gdy Zurychjanie wylądowali, pokazali zdziwionym Strasburgczykom co im przywożą. Była to kuchnia na której dymiła gotująca się zupa.

Podróż dla zupy, pięćdziesiąt mil, dla gotującego się bulionu!

Przestańmy jednak żartować, czytając słowa historyczne, jakiemi magistrat upamiętnił ten podarunek patryarchalny.

„To (mówili) jest obecnie tylko symbolem; gdyby za wolą Bożą Strasburg znajdował się kiedy w niebezpieczeństwie, Zurychyanie przybiegną mu na ratunek, zanim półmisek z potrawą ostygnie."

Któżby przewidział, że słowa te sprawdzą się we trzy wieki później, że ta scena wesoła, znajdzie powtórzenie w tragedyi.

Wszyscy pamiętają w Alzacyi, że podczas oblężenia Strasburga przez wojska niemieckie, w roku 1870, deputacya szwajcarska prowadzona przez wysłanych z Zurychu, weszła do miasta, powstrzymując na chwilę grad kul, niosąc ratunek i pomoc oblężonym.

Zurychyanie nie mogli ocalić miasta od zatraty, mogli jednakże zabliźnić niektóre rany i przynieść mu czego pragnęło, przedewszystkiem wiadomości z Francyi.

Niestety! były one straszne... ponure!

Główna wiadomość przyniesiona wtedy oblężonym, nosiła miano Sedanu. Uderzyła ona Alzacyę w samo serce, lecz niedopuściła jej zwątpienia w siebie.

Jeśli kiedy uczuła ona węzeł łączący ją z Francyą, to w tych dniach spustoszenia i trwogi.

Nieszczęście łączy silniej niż radość. Wtedy i odtąd Alzacya nieprzestała okazywać Francyi dowodów niezłomnej wierności.

Opowiedzmy pierwszą noc bombardowania, jak ją nam naoczny świadek przedstawia:

„W wieczór 18 Sierpnia, noc była ciemna, czuwaliśmy z otwartemi oczami, po nad tą rozległą masą zieloności. Nagle horyzont zapłonął i grad rakiet przebiegłszy nad naszemi głowami, upadł na miasto.

„Deszcz ognisty padał ze wszystkich stron, a na odległość bateryi był takim, że bezustannie światło widziano. Po głębokiem milczeniu, nastąpił straszliwy hałas, jaki płynął z miasta pogrążonego w ciemności; zrazu światełka się ukazały i nagle płomienie buchnęły ze wszystkich stron.

„Strzała katedry odbijając te barwy fantastyczne zaczęła płonąć. Pod hukiem artyleryi, trzeszczeniem pożaru, słychać było głosy wołające o pomoc a po nad wszystkiem panujący ostry krzyk dzieci.

„Aby otrzymać kapitulacyę i w nadziei wywarcia nacisku przez ludność na komendanta, niemcy rozpoczęli według ich własnego wyrażenia się: *Krwawy taniec.*

„Wiadomo jak Strasburgczycy odpowiedzieli na to uprzejme wezwanie. W ośm dni później, długie ulice płonęły z jednego końca na drugi, blask ich czerwony krwawił całe niebo. Znajdowałem się w jednej z bateryi, blizko wsi Hausbergen. Granaty przebijały powietrze; jak komety, a roztaczając żywe światło wokoło siebie, rysowały wielkie łuki, koła, spadając ciężko na bruk miasta i dachy.

„Cała baterya pruska i badeńska rozłożona pod miastem, grzmiała razem, a hałas był tak straszny, że ziemia drżała w posadach. Ze wszystkich wałów odpowiadano energicznie na ten ogień, nimfa światłości otaczała Strasburg. Jednej z tych strasznych nocy usłyszano krzyk: „Katedra płonie". W rzeczy samej, dach głównej nawy był w ogniu, płomień lizał z wściekłością podstawę wieży niemogąc jej naruszyć. W tę to noc któżby nieprzypomniał sobie starej legendy?"

W noc święto Jańską, corocznie (opowiadano sobie w czasie długich zimowych wieczorów) zmarli artyści i rękodzielnicy, którzy budowali katedrę, poruszają się w grobowcach swoich.

Wtedy to wychodzą z mogił majstrowie architekci, trzymając w ręku kompas i laskę magistracką, następnie ociosywacze kamieni ze sznurem w ręku, rzeźbiarze i malarze na szkle. Wszyscy się spotykają w głównej nawie katedry, witając jak dawni znajomi uściśnieniem ręki. Poruszają się i szepcą, jak tłum spadających liści. Schodami i galeryą rozległa ta procesya rozlewa się wchodzi na wieżę.

Dziewica w białej szacie, z dłutem w lewej ręce a młotkiem w prawej, idzie na czele.

To Sabina rzeźbiarka. Widać ją wznoszącą się aż do szczytu strzały i pływającą wokoło niej, w srebrzystym blasku księżyca. Za uderzeniem pierwszej godziny cały ten świat duchów znika, jak tłum liści za wiatru podmuchem. Cienie zapomnianych a wielkich czuwajcie po nad swym dziełem, po nad świątnicą w której złożone są skarby uczuć i chwały Alzacyi.

---

## Prawdziwa miłość.


W najpierwszym lat moich kwiecie,
Patrząc z współczuciem na ludzi,
Marzyłam jak marzy dziecię,
Gdy je ze snu jawa budzi;
Niestąpiłam po za krańce,
Jasnej ułudy dziecięcej:
Dla mnie tej ziemi mieszkańce
Braćmi byli, niczem więcej,
I szłam tak z wzniesionem czołem,
Kwiecistą żywota drogą,
A miłując wszystkich społem,
Nie pokochałam nikogo.

Później gdy minęły lata,
Chwil promiennych życia wiosny,
Rzuciłam na ustrój świata
Wzrok łzawy, tęskny, żałosny;
Zapragnęłam sercem całem,
Dostrzedz pośród karłów tłumu,
Męża czynu i rozumu,
Coby mi był ideałem,
Lecz próżno wśród mętnej fali,
Znaleźć rozkosz serca błogą:
Oni wszyscy mnie kochali,
Ja nie kochałam nikogo.

Jeszcze później, kiedy szersze
Koło myśli, wrażeń, chęci
Wyrugowało najszczersze
Złód mamidła z mej pamięci,
Chciałam śmielej i goręcej,
Pokrewnej wyszukać duszy,
Lecz nieznalazłem nic więcej,
Prócz zawodów, łez, katuszy...
Opuściwszy smutnie głowę,
Spojrzałam dokoła z trwogą,
Na moje życie jałowe,
Bo nie kochałam nikogo!

Przeminęła wiosna życia,
A jam Panu wszech-stworzenia,
Wśród klasztornego ukrycia,
Poniosła swoje cierpienia,
Wtedy zniknął pomrok szary
Zwątpień, co płodzi katusze,
I blask złoty świętej wiary,
Opromienił moją duszę,
W miłości dla Stwórcy świata,
Odnalazłam miłość błogą,
Choć z ludzi przez długie lata,
Nie pokochałam nikogo.

*Ludwik Niemojowski.*

# STARE GNIAZDO.

HUMORESKA

SKREŚLIŁ

Anatol Kr.

(Dalszy ciąg.)

Terenia związana sercem, gdzie indziej, tak niechętnie każdego nowego witała konkurenta, iż niefortunny występ Baworskiego wielką sprawił jej uciechę. Gronostaje, owa niewinna przyczyna ośmieszenia hrabiego, drogie jej się stały odtąd. Zdawało się, że hrabia podążywszy na wyścigi, a pamiętny szyderczego śmiechu, jaki go pożegnał na sali, nie zechce pokazać się więcej. Rachuby zawiodły ją jednak. Podróż do Wilna była tylko pretekstem, a młody zdechlaczek przyjechał jak się pokazało wprost z intencyą starania się o kniaziównę, którą z bogatych panien w kraju, mama mu sama za żonę wybrała.

Stary Gedymin zasięgnąwszy wieści na Podolu, przekonał się, iż młodzieńcowi prócz słabej głowy, zbytku posłuszeństwa dla mamy i żyłki do koni nic nie było do zarzucenia. Bogaty, utytułowany i spokrewniony z pierwszemi rodzinami, temi stosunkami właśnie chwycił najwięcej za serce, podupadającego na zdrowiu prezesa.

— Chory jestem, los córki ustalić muszę — mówił — a to właśnie dobry materyał na męża. Złączywszy dwie fortuny stanie na równi z Radziwiłłami i Zamojskiemi, a że głupi, cóż z tego? Czy to u nas jest sejm czy parlament? Czy w politykę będzie się bawił? Majątku nie straci bo oszczędny, a rozumna Terenia ma dosyć za niego i za siebie.

Nie pomogły płacze i szlochy jedynaczki. Ktoś wspomniał o młodym Slepściu, o jego wykształceniu, prawym charakterze i przywiązaniu do kuzynki, stary zakrzyknął jednak, że mu dom wymówi, zakaże Terenię widywać, przysiągł na cienie zmarłej żony, iż w razie podobnego nieposłuszeństwa córkę wydziedziczy, przeklnie, a majątek na cele dobroczynne zapisze.

Scena ta pomogła pozornie, gdyż kniaziówna uspokoiła się o tyle, iż oświadczyny Baworskiego znalazły ją, na pół już zrezygnowaną. A były one oryginalne zaiste; poproszona do pokoju prezesa, kniaziówna zamiast Gedymina, zastała tam tylko przyszłe swe hrabiątko.

— Papy nie ma? — zapytała zatrzymując się na progu.

Baworski posunął się żywo ku niej:

— Pan prezes wyszedł, bo to ja właściwie pragnąłem pomówić z panią.

— Czy nie za wiele zaszczytu? — rzuciła ironicznie.

— *Mais comment* — odparł w dobrej wierze — to dla mnie właściwie zaszczyt, że mam przyjemność zabawić się z taką jak pani osobą.

Terenia uśmiechnęła się mimowoli z kłopotu w jaki go komplement i monokl wprawiał.

— Czy się pan zabawisz, wątpię, ale w każdym razie, niechże się dowiem, czem mu służyć mogę.

— Wszystkiem. Ale niech pani będzie łaskawa siadać — dodał przysuwając jej fotel.

— Dziękuję pokornie — odparła Terenia dygając i odzyskując w miarę jego zakłopotania zwykłą swobodę umysłu — sądzę jednak, że jako gospodyni, ja to powinnam robić panu honory.

Mama mówi, że pani mi zawsze honor robi.

— *Que vous êtes charmant* — żartowała dalej.

— *Merci princesse, je vous remercie beaucoup*— odparł kłaniając się z wdzięcznością. — Skoro pani taka łaskawa, łatwiej mi przyjdzie powiedzieć, mama mówi, że najlepiej, tak jak na spowiedzi od największego zacząć grzechu.

— Ah, więc tu o grzech aż chodzi, *prenez votre courage á deux mains.*

— Oho, *je le tiens*, mam nietylko odwagę, ale lat 22, postawę jak pani widzi, charakter łagodny, trzy klucze...

— Do królestwa niebieskiego—uzupełniła kniaziówna złośliwie.

— Ale nie, trzy klucze dóbr — poprawił się żywo — Kociepazurki, Górnebąki i Oślesłuchy, pałacyk, piękny park, rasową stadniną, akcye w fabrykach cukru, rodowe klejnoty.

— Przepraszam, panie hrabio, skąd ta spowiedź? Czy pan sądzisz, że jestem notaryuszem, który będzie robił spis inwentarza po twojej śmierci?

Baworski zaczerwienił się po uszy.

— A któż tu o śmierci myśli. Mnie właśnie życie się uśmiecha i to życie, *avec vous princesse.*

— Co, co? — podjęła kniaziówna zdumiona.

— Nie żartuję, jak mamę kocham. Dlatego właśnie wyliczyłem co posiadam, aby pokazać, iż wdzięczny za zaszczyt, jaki pani rodowi memu przyniesie, pragnę się podzielić tem wszystkiem, z przyszłą piękną panią hrabiną.

— Jakto, nawet rasową stadninę?

— Wszystkiem. Ażebyś pani wiedziała, jakiego już mam wierzchowca dla niej! Klękajcie narody, *alezan* z białą grzywą. Księżna Charlicot na takiej samej jeździ. Tylko, że ona brzydka, a piękny koń potrzebuje koniecznie pięknej kobiety, to też jak mi pan prezes przyobiecał śliczną rączkę pani...

I młodzieniec z miną zdobywcy sięgnął po dłoń p. Teresy.

— Przepraszam, panie hrabio — wyrzekła cofając się z szyderstwem — pewno nie namyśliłeś się o co ci właściwie chodzi, o ową klacz bułaną, czy o moją osobę. Ja sądzę, że konia wolisz odemnie.

— Ale nie, na honor, *je vous adore princesse.* Przytem mama mówi, że powinienem się koniecznie ożenić, mieć syna, bo inaczej ród nasz wygaśnie, a na to obowiązki względem kraju nie pozwalają. Jestem przecież dobry obywatel. Więc jak chodziło o syna, zaraz mama i ja o pani pomyśleliśmy.

W Gedyminównie krew zagrała.

— Mości hrabio, niczem nie upoważniłam go do powzięcia równie szalonych nadziei.

Młodzik zdetonował się na razie.

— Jakto, to szalona nadzieja, że jak się ożenię to będę mieć syna.

— Możesz ich pan mieć ile ci się podoba, tylko tą razą wypuść mnie z rachuby.

— A to ciekawym jakim sposobem? — zaśmiał się mrugając wolnem od szkiełka okiem.

— Idyota! — wybiegło przez zaciśnięte usta kniaziówny, która szybko z salonu wybiegła.

Okrzyk ten wszakże nie przeszkodził jej przyjąć nazajutrz pierścienia zaręczynowego, oficyalnie wręczonego jej przez ojca. I owszem, uczyniła to ochotnie pozwalając naznaczyć prędki dzień ślubu z pogodą, wprawiającą nawet starego tetryka w zdumienie.

* * *

(*Dokończenie nastąpi.*)

---

# ODCZYTY O AFRYCE

p. Aleksandra Jawornickiego.

To co niegdyś działo się w wędrówkach ludów azyatyckich, pędzonych nieprzepartą siłą konieczności ku obszarom zachodnim europejskiego lądu, to samo, sądząc z opisu Szanownego Prelegenta, odbywa się dziś w Afryce uplastyczniając niejako czasy epoki przedhistorycznej, usadawiania się ludów w siedzibach dziś przez nich zajmowanych.

Po ogólnym opisie podróży w głębinę Afryki i malowniczości miejscowych okolic, Prelegent głównie wykład swój poświęcił zobrazowaniu urodzajnego pobrzeża zachodniego pod samym równikiem, zamieszkałego przez plemię murzyńskie M'Pangue inaczej Fanów, osiedlone w miejscowości bardzo pięknej i bardzo ponętnie opisanej. Wszystko tu nowe, nieznane i tajemnicze, klimat, ludzie i niebezpieczeństwo przeprawy przez okolice stopą ludzką dotąd niedotknięte. W pośród pustyń jakby zamarłych od zbytnich upałów, gdzie trud ogromny w zaspokojeniu koniecznych potrzeb głodu i pragnienia jest prawie nieodłącznym towarzyszem człowieka, tam walka z przeciwnościami stawianemi przez naturę, musiała na nim wycisnąć odpowiednie piętno w całym moralnym jego ustroju. Mieszkańcy też tamtejsi to prawdziwe dzieci natury, czem byli oddawna tem pozostali jakby o cywilizacyi europejskiej nawet nie wiedzieli.

W ciągłej walce o zdobycie warunków swego wyżywienia, w jakiej europejczyk i miesiąca wyżyćby nie potrafił, urabiały się ich pojęcia religijne, zwyczaje, przesądy i obyczaje. Przebywając wśród natury tak wrogiej dla niego, mieszkaniec wybrzeża, najzupełniej wierzy, że wszystkie siły przyrody, burze, pioruny, susze i zalewy wodne i t. p., są objawami gniewu potężnych istot, pragnących ludziom jedynie prześladowaniem przypominać o swej potędze i obecności.

Jego bóstwo to duchy złośliwe, potęgi prawie nienawidzące ludzi, prześladujące ich przez całe życie z zawziętością i wytrwałością niczem nieusprawiedliwioną i nieprzebłaganą. Murzyn więc trwogą zawsze przejęty nie modli się do owych bóstw złośliwych, bo wie, że się to na nic nie zda, nie dziękuje także ale stara się ująć ofiarą, czyli mówiąc wyraźniej, przekupić tych potężnych panów doli ludzkiej, jak to zwykle dzieje się między ludźmi niekoniecznie tylko w Afryce.

Jeżeli zaś ofiara bez skutku pozostaje, mści się na fetyszu z całą brutalnością swych obyczajów, bije, poniewiera, rzuca w kałuże najwstrętniejsze wreszcie niszczy zupełnie w tej pewności, iż fetysz wyczerpał już wszystkie swe złości na dokuczenie

mu i że tym sposobem zemstę na nim bezkarnie może wywierać.

Murzyn tamtejszy wierzy także w dobre bóstwa, ale temi się nie zaprząta, bo powiada, że dobry chociażby chciał źle zrobić to nie zrobi bo nie może, pocóż więc niepokoić go i nudzić tem co obcem jest jego naturze. Z takich pojęć religijnych, wyrobionych wrogim klimatem, wynikają rozliczne wady murzynów afrykańskich a szczególniej niedowierzanie, okrucieństwo, zemsta a nawet i ludożerstwo. Ostatni jednak ten wstrętny obyczaj, nie wypływa z uczucia zemsty, ale z nadzwyczajnej radości, z uczucia tryumfu i dumy, że wroga nietylko pokonał i zabił, ale upiekł i pożarł, aby przymioty jego wojownicze w krew swoją przelać.

Nie ma także pomiędzy murzynami afrykańskiemi żadnych tradycyi historycznych, każdego wiedza przeszłości ogranicza się do samego siebie: syn nic nie wie co się z ojcem działo a tymbardziej przez jakie koleje wioska jego rodzinna przechodziła. Mają jednak pewne pojęcia prawne i formy prowadzenia sądownictwa. Obwiniony najzwyklej o kradzież staje przed sędziami w osobnej chacie, którym najprzód opowiada winę oskarżyciel, potem obwiniony, w końcu świadkowie.

Prelegent obszernie opisywał stały ruch ludności murzyńskiej z wnętrza Afryki podrównikowej, ku pobrzeżom zachodnim.

Zkąd ten ruch się bierze, dokładnie niewiadomo, wędrowne bowiem tłumy, nieznając nazwy swej poprzedniej siedziby, mogą tylko według słońca wskazać kierunek odbytej drogi, a długość jej oznaczyć według zmian księżyca. Wędrówki owe przypominające dawne wychodztwa ludów z Azyi do Europy, kończą się zwykle zgubą plemion słabszych w walce z silniejszemi, oraz powolną zgubą i pokonanych i zwycięzców w zetknięciu się z europejczykami.

Mówiąc o misyi, Prelegent oddał pierwszeństwo bezwzględne misyi katolickiej w Gabunie, następnie wspomniał z uznaniem o zakładzie siostr Niepokalanego Poczęcia, w którym wychowują się młode dziewczęta murzyńskie.

Misya Gabuńska nietylko pracuje nad zaszczepieniem zasad nauki Chrystusa, ale i krzewi pożyteczne zajęcia: rozwój rzemiosł w znacznej części zachodnie brzegi Afryki jej zawdzięczają. Ona nakoniec, pracuje nad utworzeniem pierwszej tu prawdziwie chrześciańskiej gminy, jaka powstaje z młodzieży wychowanej przez misyą gabuńską, przez małżeństwo jej wychowańców z dziewczętami wychowanemi przez siostry Niepokalanego Poczęcia.

Z pomiędzy bardzo licznych misyi protestanckich, jedna tylko łączy naukę religii z nauką rzemiosł, a ztąd rozwojem przemysłu.

Bogata natura Afryki przedstawia niewyczerpane pole dla eksploatacyi przez Europę, ale klimat zabójczy dla Europejczyków, którzy dłużej nad lat trzy nie mogą tu przebywać bezkarnie, jest naturalnym obrońcą tej ziemi.

Trzeba przez wielkie prace około osuszenia bagnisk, uregulowania rzek, przecięcia lasów i t. p., zmienić klimat Afryki, a wtedy to dopiero otworzy się pole do kolonizacyi, przedtem przedsięwzięcia wszelkie są stanowczo niemożliwem marzeniem.

W końcu swego odczytu, kilkakrotnie przerywanego oklaskami, p. Jawornicki okazywał zebranym mnóstwo wyrobów ludów afrykańskich.

Wyroby te oglądający podziwiali.

Były tu okazy przeróżnej broni, łyżki, ozdoby, tkaniny i t. d.

Cała ta prelekcya niezmiernie zajmująca i ciekawie bardzo przez słuchaczy wysłuchana, wypowiedziana była przez p. A. Jawornickiego językiem wytwornym i potoczystym a głosem donośnym. Nic też dziwnego, że nagrodzoną została głośnym oklaskiem zgromadzonych ponawianym często podczas obu wykładów.

*G.*

---

# WOLA.

PRZEZ

JERZEGO OHNET'A.

PRZEKŁAD

*Bronisławy Kowalskiej.*

---

(Dalszy ciąg.)

Dianna kończąc te słowa, skrzyżowała ręce na piersiach jak męczenica oczekująca w cyrku na ukazanie się dzikich zwierząt mających ją rozszarpać; usta jej drgały jakby wewnętrzną poruszane modlitwą.

Ludwik olśniony niepospolitą pięknością młodej kobiety, oczarowany jej wdziękami, nie rozumiał nawet słów które wymawiała, upajając się jedynie dźwiękiem jej głosu. W tej chwili byłby się nawet wyparł Emilii, którą jednakże kochał jak siostrę, byłby się pokłócił z Klemensem de Thauziat, na jedno skinienie, na jedno słówko tej kobiety. Kochał ją szalenie, namiętność zaślepiała go do tego stopnia, że z rozkoszą oddałby był wszystko co posiadał za jeden uścisk, jeden pocałunek tej czarującej istoty; chciał chwycić ją w objęcia i z tą zdobyczą uciekać gdzie daleko, aby ją mieć na swoją wyłączną własność. Oczy jego wyrażały tak nieoględnie pragnienia serca, że Dianna skierowała wzrok w inną stronę, jakby obrażona zbytnią śmiałością młodzieńca. Poczem otulając na sobie fałdy domina, skromna i rozrumieniona jak młode nieświadome dziewczę, postąpiła krokiem naprzód, chcąc się coprędzej oddalić.

— Nie opuszczaj mnie! zawołał Ludwik namiętnie. — Wiesz dobrze jaką masz władzę nademną, wiesz, że jestem twoim najwierniejszym sługą, najserdeczniej przywiązanym przyjacielem i że chętnie walczyłbym w twojej obronie...

— W takim razie miałbyś pan zbyt wiele do roboty — odrzekła Dianna łagodnie — zresztą nie mam żadnego prawa wymagać pańskiej opieki i nie chcę, abyś pan miał się narażać dla mnie... Oddal się, proszę cię... pozostaw samą nieszczęśliwą kobietę, na którą każdemu wolno cisnąć potwarz...

Słowa powyższe były jakby dolaniem oliwy do ognia, w tej chwili Ludwik gotów był życie złożyć jej w ofierze. Przysunął się nieco i rzekł z uśmiechem i tą pewnością siebie, cechującą młodych, ufnych w swe siły ludzi:

— Wesprzyj się pani na mojem ramieniu i nie lękaj się niczego.

Kobieta podniosła wzrok na niego i jakby oczarowana jego odwagą i spokojem oparła się na jego ręku z wyrazem zbyt może czułej wdzięczności. Przeszli tak razem przez salonik, gdzie sir John grał w karty. Dianna ze swoim towarzyszem przybliżyła się do stolika. Mąż spojrzał na nią obojętnie lecz Lereboulley zaniepokoił się widocznie i zaledwie rozkazujące spojrzenie Dianny zatrzymało go na miejscu. Lecz powolność życzeniom pięknej pani była oczywistą dla senatora męką, poczerwieniał cały i zdawało się, że blizkim jest apopleksyi,

Żal było patrzeć na tego starca zmuszonego powściągać swoje namiętne uczucia. Dianna milcząc przesunęła się koło niego jak białe widmo. Po chwili znalazła się z Ludwikiem na balkonie przylegającym do biblioteki księcia Voréseff.

Tu, wsparta o żelazną poręcz, zdjęła maskę i pełną piersią odetchnęła orzeźwiającem powietrzem nocy. Lekki wietrzyk chłodził jej białe czoło i muskał sploty jasnych włosów a Ludwik z zachwytem wpatrywał się w śliczną twarz jaśniejącą przed nim w całym blasku piękności i młodości. W istocie malarz zaledwo mógł wymarzyć cudniejsze oblicze i powabniejsze kształty kibici. Duże, błękitne oczy, czarną ocienione rzęsą, wyrażały nieograniczoną słodycz i prostotę; mały, zgrabny nosek, o delikatnych, różowych nozdrzach, nadawał całej twarzy cechę niewinnej, figlarnej zalotności. Ślicznie wykrojone purpurowe usta, przypominały Madonny Murilla. Jednem słowem była to najpiękniejsza postać o jakiej śnić mógł kochanek, najczarowniejsza istota z anielskiemi usty i niebiańskiemi blaskami w oczach, z któremi kłócił się piekielnie śmiały nosek, naigrawający się niemal z całego świata.

W tej chwili Ludwik nie zwrócił uwagi na tę sprzeczność, nie przypatrywał się bowiem kształtom nosa; on widział tylko oczy i usta anielskie i myślał, że za prawo złożenia pocałunku na tych ustach, za wyraz rozkoszy malujący się w omdlewającem spojrzeniu, warto było bez wahania popełnić nawet zbrodnię. Nareszcie po niejakiej chwili milczenia, młoda kobieta wydała lekki okrzyk niezadowolenia i pocierając ręką czoło jakby dla odpędzenia natarczywych myśli, zwróciła się do swego towarzysza ze smutnym na ustach uśmiechem.

— Przebacz mi pan moje roztargnienie — rzekła. — Myślałam obecnie o bolesnej przeszłości, w której streszcza się całe moje życie... Chociaż jestem jeszcze bardzo młoda, bo mam zaledwo lat dwadzieścia cztery, cierpiałam już wiele i teraz cierpię jeszcze...

A widząc, że Ludwik spogląda na nią zdziwiony, wstrząsnęła głową poruszając przytem fale płowych włosów, połyskujących jak hełm złocisty.

— Lecz cierpię w inny sposób — dodała. — Niegdyś byłam w nędzy i nieraz głód mi dokuczył... Matka umarła zostawiając mnie samą na świecie... ojciec zaniedbał nas zupełnie i dopiero przypadek zwrócił mi tego potężnego opiekuna... Bóg tylko jeden wie jakie plotki i potwarze wywołała jego dobroć i wspaniałomyślność... Lecz porównywając przeszłość z teraźniejszością nieraz gorzko żałuję minionych dni niedoli. Wtedy przynajmniej byłam wolną i niezależną a dziś jestem na wieki złączona z człowiekiem, który mnie nigdy zrozumieć nie zdoła.

Nerwowy dreszcz wstrząsał całem jej ciałem, z żywością nasunęła na głowę jedwabny kapturek i mówiła dalej głosem, jakby od tłumionego łkania przerywanym:

— Nie wiem po co ja to wszystko panu mówię. Cóż pana mogą obchodzić moje cierpienia!... Nic pan na to poradzić nie możesz...

— Czy mówisz mi to dlatego, że wiesz, iż kocham cię szalenie? — odparł Ludwik. — O! bo wiesz chyba dobrze o mojem uczuciu; odgadłaś je po nieśmiałości z jaką zbliżam się do ciebie, po drżeniu mego głosu, gdym był o tyle szczęśliwy, że mogłem mówić do ciebie... Od pół roku uwielbiam cię w milczeniu i miłość moja nie jest chyba tajemnicą dla ciebie, na każdym kroku widzisz jej dowody. Chodzę za tobą jak cień, nie mogąc odważyć się na wyznanie, które dziś wyrywa się z mego przepełnionego serca... Dziś składam ci w ofierze wszystkie moje uczucia, uwielbiam cię jak nikt jeszcze nie uwielbiał cię dotąd... Widziałem ja dobrze, że nie jesteś ani kochaną, ani szczęśliwą. Wielki Boże! czy to możebne, aby mężczyzna żył obok ciebie, nie podlegając wpływowi twego uroku? Aby upadłszy przed tobą na kolana nie zapomniał o świecie całym?... Ja, gdy patrzę na ciebie, drżenie przenika całą moją istotę; gdy dłoń moja dotyka twej dłoni, zdaje mi się, że ogień płynie w moich żyłach. Oddałbym chętnie ostatnią kropelkę krwi, aby tylko posiadać ciebie, bo jestem pewien, że jedna godzina przeżytej z tobą miłości, wynagrodziłaby mi sowicie wszystkie poniesione ofiary!

Pochylony ku niej Ludwik szeptał swe wyznanie przytłumionym głosem, brzmiącym nieskończoną słodyczą i pieszczotliwością. Oczy jego płonęły odblaskiem wewnętrznych uczuć, rozchylone usta zdawały się pragnąć pocałunku i Dianna przez nawpół spuszczone powieki przypatrywała mu się uważnie, mimowoli wzruszona widokiem tej szczerej i gwałtownej namiętności. W istocie Ludwik ślicznym był chłopcem i zasługiwał na to, aby się w nim pokochano. Po ustach Angielki tęskny przemknął uśmiech.

— Iluż mężczyzn powtarzało mi to co przed chwilą słyszałam od pana — rzekła zwolna — na szczęście nie uwierzyłam jednak temu, gdyż to co oni nazywali wiecznotrwałą miłością, było tylko kaprysem, chwilową fantazyą rozbujałej wyobraźni. Doprawdy fatalność jakaś ciąży nademną, zmuszając wszystkich mężczyzn do wyrażania mi swego uwielbienia. Wieleż ja już słyszałam fałszywych przysiąg i bezcelowych przyrzeczeń! Być może, że pan jesteś szlachetniejszym od innych i kochasz mnie szczerzej, gdyż jesteś mi wiernym już oddawna... Lecz jeślibym przychyliła się do twoich żądań, któż mi zaręczy, że pańska miłość trwać będzie długo? Dla ludzi takich jak ty kobieta jest tylko igraszką, chwilowem bawidełkiem które ciskają skoro im się naprzykrzy! Mówiono mi, że pomimo młodego wieku jesteś bałamutem i marnotrawcą. Zresztą nie rozłączasz się z Klemensem de Thauziat...

— Czy powiesz mi o nim co złego? — spytał drżącym głosem Ludwik. — Zapewniano mnie, że Klemens zna cię oddawna i bardzo dobrze...

— Bądź pan zupełnie szczerym — zagadnęła go cierpko Dianna — powiedziano ci zapewnie, że Klemens był moim kochankiem? Może nawet on sam ci o tem wspominał. Są ludzie, którzy przez próżność gotowi byliby posunąć się do najhaniebniejszego czynu!...

— Thauziat nie mówił mi nigdy o pani choć wiele razy zagadywałem go w tej kwestyi... Nie przeczę, że chciałem wiedzieć kim byłaś, kim jesteś obecnie, choćbym z tego powodu miał cierpieć najsroższe męki. Wszystko co ciebie dotyczy, obchodzi mnie wielce. Kocham cię tak szalenie, że zdaje mi się, iż zapomniałbym z łatwością wszystko złe, jakieby mi o tobie powiedziano!... Namiętności mojej nic zwyciężyć nie potrafi!

— Prawdaż to? — spytała Dianna, a wyraz jej twarzy zmienił się nagle.

Z pod długich, jedwabistych rzęs orzuciła Ludwika badawczem spojrzeniem, delikatne jej nozdrza zadrżały a usta ironiczny rozchylił uśmieszek, gdy rzekła wyzywająco:

— A gdybym ci powiedziała, że w istocie Klemens kochał mnie, żem była jego kochanką i że może teraz jeszcze...

Nie mogła dokończyć zaczętego zdania, gdyż Ludwik chwycił ją gwałtownie za ramiona i uniósł w górę po nad żelazną poręcz; jeszcze jedno wysilenie, a upadłaby martwa na bruk uliczny. Pomimo grożącego jej niebezpieczeństwa Dianna nie broniła się wcale. Włosy jej, rozluźnione w skutek szorstkiego wstrząśnięcia, jak wonny płaszcz roztoczyły się po jej ramionach, a twarz zajaśniała wyrazem radosnego tryumfu.

Przyciśnięta do piersi Ludwika nie wydzierała się jednak z objęć tego, który w jednej chwili śmierć mógł jej zadać. Kilka minut stali nieruchomi, spoglądając na siebie w niemym zachwycie, poczem Dianna zwinęła się jak delikatna roślina ciśnięta na gorejące ognisko i przysuwając usta do ust Ludwika, długim, namiętnym przylgnęła do nich pocałunkiem.

Młodzieńcowi zdawało się, że niebo całe przebiegały błyskawice, oślepiając go swoją jasnością: w uszach mu szumiało i stał tak przez chwilę odurzony, bezprzytomny prawie, chwytając machinalnie dłońmi fale miękkich, złocistych włosów, które obejmowały go zewsząd jak morze płomieni. Skoro uspokoił się nieco, ujrzał nad sobą jasny strop nieba a pod stopami cichą i ciemną ulicę. Ciszę przerywały tylko od czasu do czasu dolatujące, przytłumione dźwięki orkiestry a Dianna, trochę bledsza niż zazwyczaj, stojąc naprzeciw niego zwijała i upinała rozrzucone włosy. Przygarnął ją więc znów do piersi namiętnym uściskiem, któremu prawie wcale się nie opierała i przysuwając usta do jej ucha, powtórzył:

— Uwielbiam cię i kocham nad życie!

— A jednak chciałeś mnie zabić — rzekła niedowierzająco potrząsając głową.

— Powiedz mi, w jakim celu wystawiłaś mnie na tak ciężką próbę?

— Chciałam się przekonać, czy kochasz mnie prawdziwie. Czy w istocie jesteś tak zazdrosnym?

— Cierpiąłem przez chwilę tak okropnie, że zdawało mi się, iż zmysły tracę. Lecz to co mi powiedziałaś nie było prawdą? Odpowiedz mi prędzej, przez litość!...

— Nie, to fałsz! skłamałam aby się o twych przekonać uczuciach.

— Wiedz jednak, że teraz nie zniosę tej myśli, że należysz do innego...

Dianna pochyliła czoło i rzekła z wymuszonym spokojem:

— Zapomniałeś, że nie jestem wolną.

— Wszakże sama powiedziałaś mi dziś, że mąż jest dla ciebie zupełnie obojętną istotą i że nie zajmuje się tobą wcale?

— Chociaż postępowanie jego względem mnie jest do najwyższego stopnia naganne, niemniej jestem jego żoną i noszę jego nazwisko... Przed chwilą byłam szaloną, dając się powodować zakazanemu dla mnie uczuciu, lecz teraz wyrzucam sobie moją nieostrożność... Pan zaczynasz już rościć sobie jakieś prawa nademną... Błagam cię, nie gub mnie, zatrzyj w pamięci chwilowe moje zapomnienie... Odurzona widokiem twojej namiętności, upojona dźwiękiem czarownych słów miłości, zapomniałam o świecie całym i o własnem mojem położeniu i nierozsądnie marzyłam o poświęceniu dla ciebie całego mojego życia... Lecz widzisz sam, że to jest niepodobieństwem!... O! wierz mi, ty jesteś jedynym człowiekiem, któremu oddałabym się z duszą i ciałem, choćby na oka mgnienie tylko... Kochałabym cię szczerą, bezgraniczną miłością... Już cię kocham, nawet zanadto!... Ale jeszcze czas cofnąć się z nad brzegu przepaści, lepiej cierpieć a rozstać się na zawsze.

— Nie myśl abym się na to zgodził.

— A więc czegóż pan żądasz? — zawołała Dianna.

— Posiadać ciebie, najdroższa!

Mówiąc to uchwycił ją znów w objęcia i przycisnął do siebie tak silnie, że czuł gwałtowne bicie jej serca. Usta jego szukały ust młodej kobiety, lecz ona uchyliła się od tej pieszczoty i Ludwik musnął tylko płowe jej warkocze.

Tymczasem szał jakiś ogarnął Diannę, zamiast odepchnąć Ludwika obejmowała go silnie ramionami, wydając niezrozumiałe okrzyki. Łzy polały się obficie z jej oczu, zdawało się, że gwałtowna miłość i straszna rozpacz szarpią naprzemian jej sercem. Ludwik wzruszony widokiem tego rozkosznego pomieszania, spoglądał na nią z upojeniem, nie myśląc o skorzystaniu z chwili zapomnienia, która mu ją oddawała bezbronną. Raz jeszcze powtórzył:

— Chcę, abyś była moją, moją na zawsze!

Ona spojrzała mu prosto w oczy i rzekła:

— Twoją będę, niech się dzieje co chce! Wolę śmierć niż wyrzec się ciebie!

Poczem wyczerpani wzruszeniem, namiętnym połączeni uściskiem, nie przemówili już ani słowa, w milczeniu chłonąc rozkosz tej czarownej chwili.

Odgłos kroków wyrwał ich wreszcie z zachwytu. Ramiona ich rozplotły się nagle, gdyż we drzwiach balkonu ukazał się Thauziat.

— Szukam was już od półgodziny — rzekł spokojnym głosem. — Schroniliście się tu, aby świeżem odetchnąć powietrzem?

— Tak — odparła również spokojnie Dianna, podczas gdy Ludwik usunął się na chwilę do biblioteki, dla ukrycia swego pomieszania. — W salonach nieznośny dokuczał upał... Która teraz może być godzina?

— Trzecia po północy — objaśnił ją Thauziat spojrzawszy pierwej na zegarek.

— Czas wracać do domu. Muszę oderwać sir James od rozkoszy zielonego stolika.

I zwracając się do Ludwika, podała mu rękę z takim wyrazem przyjaznej obojętności, jakby przed chwilą nic stanowczego między nimi nie zaszło.

— Do widzenia — rzekła. — Wszak zobaczemy się dzisiaj?

— Bezwątpienia — odpowiedział z uprzejmym ukłonem a skoro podniósł głowę do góry, ujrzał już tylko niknący we drzwiach długi ogon jej białej sukni.

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

## Wskazówki umiejętnego ubierania się.

Zebrała i własnemi spostrzeżeniami uzupełniła

Doświadczona Warszawianka

M. Niemitra.

(Dalszy ciąg.)

### III. O pachnidłach.

W czasach starożytnych używano środka w celu uprzyjemnienia sobie życia i upiększania ciała — perfum. Były to pachnące zioła, które palono, od czego pochodzi nazwa per fumum — przez dym.

Bez kwiatów i kadzideł nie odbyła się żadna uczta. U egipcyan, przed ucztą, nacierano gości pachnącemi olejami i przystrajano w wieńce kwiatowe, podczas gdy w srebrnych naczyniach palono kadzidła.

Rzymianie perfumowali swoje łoża, pokoje i orły swoich sztandarów, a podczas uczty posali przelatywały białe gołębie, skrzydła których były skropione mocnemi pachnidłami.

Do Europy aromatyczne oleje zostały przywiezione przez Krzyżaków, powracających z ziemi świętej.

Madame Tallien, najpiękniejsza kobieta z czasów respubliki francuzkiej, codziennie brała kąpiel, do której dodawano tysiące rozmiażdżonych poziomek, a Napoleon I, gdy był zmęczony pracą, wylewał sobie butelkę eau de Cologne na głowę i plecy.

My zwykli śmiertelnicy nie możemy sobie takich zbytków pozwalać i dlatego też podaję swym łaskawym czytelniczkom środek odświeżający, mniej kosztowny, ale niemniej skuteczny, umycie się wodą, do której dodano kilka kropel vinaigre de toillete.

Siedliskiem wszelkich zapachów są kwiaty z których głównie siedm: rezeda, jaśmin, róża, kwiat pomarańczowy, hyacynt, akacya i fijołek stanowią źródła modnych perfum.

Kwiaty o jasnych barwach wydzielają więcej zapachu od ciemnych. Świat zwierzęcy dostarcza piżma i paczuli, które tylko ludzie o silnych nerwach znoszą.

Pewien estetyk powiada: „Każda kobieta powinnaby używać odpowiedniego do swego wieku i charakteru zapachu. Dlaczegóż nie mamy swych przyjaciółek, które po ich słodkich głosach poznajemy, tak samo przez właściwy im zapach odróżnić? I tak, literatce należy się jaśmin. Zapach kwiatu pomarańczowego należy się salonowej damie, a piżmo powinno być właściwością silnie zbudowanej kobiety. Zapach róży przystoi rozkwitającej dziewczce, a woń fijołka odpowiada melancholijnemu usposobieniu. Zaś w heliotropie (vanille) spostrzegamy rys smutku i przeznaczamy go zatem młodym wdowcom, jako właściwe perfumy.”

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

# TEATR.

**Córki na wydaniu**, farsa w 3 aktach przez Edwarda Zdanowskiego. Debiut panny Junoszówny.

To co jedni zowią błogosławieństwem Bożem, drudzy podporą starości, a wszyscy bez wyjątku pociechą rodziny, jednem słowem dzieci nasze, zwłaszcza, gdy się w liczne rozmnożą potomstwo, niemały częstokroć sprawiają kłopot zacnem mamuniom i poczciwym ojczulkom. O synów w każdym razie mniejsza, ci bowiem dadzą sobie jeszcze radę na tym świecie, ale córki, to dopiero twardy orzech do zgryzienia! Bez posagu rzadko kto weźmie z domu, a o pieniądze niezmiernie trudno w dzisiejszych ciężkich czasach, szczególniej takiemu panu Golickiemu zbankrutowanemu wiejskiemu obywatelowi.

Nie ma więc dla nieszczęśliwego papy innej rady, jak powierzyć tę delikatną sprawę pani Rajfurowskiej utrzymującej kantor stręczeń małżeństw w Warszawie. Doświadczona w swym fachu niewiasta, wprowadza do domu zagrożonych staropanieństwem dziewic, dwóch konkurentów, a mianowicie pana Naciągalskiego łowcę na bogate wiana, i pana Fujarkiewicza poczciwego litwina, grzeszącego znów zbytnią nieśmiałością, jakoteż pewnym defektem w systemacie trawienia.

I byłby zapewne kontyngens zleżałego cokolwiek na składzie towaru zmniejszył się przynajmniej o połowę, na nieszczęście jednak jest tam także i ciotka brzydka lecz zarazem bogata panna Szporkowska, wzdychająca oddawna do słodkich więzów himenu i szczęścia w objęciach miłości. Tę zatem czułą synogarlicę wierny swemu nazwisku Naciągalski, przyciąga do siebie, gdy tymczasem Fujarkiewicz jako prawdziwy fujara, nie znalazłszy dość odwagi dla dokończenia rozpoczętych konkurów, drapnął w stanowczej chwili oświadczyn, zostawiając kandydatkę do stanu małżeńskiego na koszu.

Papa lamentuje, córki spuszczają oczęta ku ziemi, nadjeżdża komornik celem zajęcia ruchomości i byłoby wszystko najgorszy wzięło obrót, gdyby na pociechę strapionych nie zjawiła się w najkrytyczniejszej chwili, pani Rajfurowska wraz z Fujarkiewiczem. Ten ostatni nabrawszy cokolwiek większej pewności siebie, zostaje mężem panny Michaliny jednej z czterech córek na wydaniu i w dodatku płaci długi jej ojca.

Oto jest cała treść farsy.

Pierwsza ta praca na polu dramatycznem pana Zdanowskiego, dowodzi rzeczywistego talentu autora tak w scenizacyi dwóch pierwszych aktów jakoteż w charakterystyce wchodzących do sztuki osób. Postacie jakie nam przedstawia są po większej części naturalne, humor choć mniej wybrednego rodzaju szczery, sytuacye choć czasami naciągnięte ale obudzające wesołość i zajęcie u widzów. Brak wprawy młodego autora widzieć się tylko daje w skreśleniu głównej figury pana Golickiego, który w scenie z panną Szporkowską bezcześci płeć słabą piętnując ją bezwstydem i hańbą. Podobne bowiem lekceważenie kobiet nie może nigdy mieć miejsca w ustach ojca dorosłych córek, same poczucie zdrowej logiki sprzeciwia się temu. Nadto akt ostatni skutkiem nagromadzenia zbytecznych szczegółów i wprowadzenia osób najmniejszego związku z akcyą nie mających, opóźniając zakończenie, osłabia cały interes sztuki.

Nie pochwalę również owego objaśnienia charakterów swych bohaterów, przez nadawanie im odpowiednich do ich wad, zalet lub nawet powierzchowności nazwisk. Tak wprawdzie czynił Franciszek Zabłocki a po nim Wojciech Bogusławski w dawnych czasach, ale dziś, gdy jedynie akcya dramatycznego utworu winna wyświetlić ujemne i dodatnie strony przedstawionych typów, owa na odwiecznych wzorach oparta maniera, zatrąca cokolwiek myszką starości.

Pomimo jednak wymienionych niedostatków farsa pana Zdanowskiego należy zdaniem naszem do lepszych nabytków sceny teatru Nowego i jesteśmy przekonani, iż twórca tej krotochwili przy nabraniu odpowiedniej rutyny, przysługiwać się będzie publiczności coraz więcej zadawalniającemi płodami.

*Córki na wydaniu* odegrane zostały, mianowicie przez męzki personel teatru, wcale dobrze; należałoby tylko cokolwiek przyspieszyć bieg akcyi.

W utworach tego rodzaju żywsze tempo przyczynia się niemało do powodzenia, szczególniej gdy wykonawcom przychodzi zatrzéć werwą gry swojej, rozwlekłość rozwiązania intrygi scenicznej.

A teraz słówko o nowej debiutantce:

Panna Junoszówna (Antonina D.) uzyskała po raz wtóry prawo występów na scenie warszawskiej. Odtworzona przez nią rola w „Śmierci cywilnej” nie daje nam dostatecznego pola do ocenienia wszechstronnie jej talentu; ponieważ jednak znaliśmy ją jako młodziutką uczenicę szkoły Derynga, następnie artystkę trup prowincyonalnych, a na końcu debiutantkę w roku zeszłym na deskach teatrów rządowych, możemy zcharakteryzować jej grę bez obawy popadnięcia w jednostronność.

Wspomniona artystka posiada przedewszystkiem rutynę sceniczną, nabytą usilną pracą, ujmującą powierzchowność, wyborną modulacyę głosu, a jeżeli gra jej zwłaszcza w scenach uczuciowych jest cokolwiek zmanierowaną, to i ów drobny niedostatek, nieuchronne następstwo pośpiesznego wykonywania coraz to nowych ról na prowincyi, może z łatwością być usuniętym przy odpowiedniejszych warunkach. Dlatego też sądzimy, iż panna Junoszówna stanowiłaby pożyteczny nabytek dla naszego teatru.

*Ludwik Niemojowski.*

# WIADOMOŚCI
# Z RÓŻNYCH STRON.

Oprócz zwyczajnych naszych gości corocznie z prowincyi na jarmark Świętojański przybywających, cudzoziemcy z rozmaitych stron świata podróżujący po Europie, zaczynają zaglądać i do naszej Warszawy.

Niedawno takie grono włoskich podróżników złożone z jedynastu osób, bawiło w naszym grodzie i pod opieką przewodnika zwiedzało tutejsze

kościoły, objeżdżało miasto, zajrzało do ogrodu Saskiego i cukierni w niem znajdującej się, oglądało pałac Sobieskiego w Willanowie i po trzechdniowej bytności udało się w drogę do Moskwy.

Niedawno znów przez Warszawę przejeżdżały z Petersburga za granicę córki księcia Czarnogórskiego, a jednocześnie prawie administracya hotelu Europejskiego, otrzymała telegraficzne zawiadomienie z Aleksandryi z Egiptu, o przyjeździe do Warszawy dwóch synów Khedywa Tefika baszy. Przygotowano też dla nich wspaniałe apartamenta na dni kilka zapowiedzianego pobytu.

Pewne kółko naszej młodzieży, pod przewodnictwem organizatora pana A. K., obchodziło w ubiegłą niedzielę dziesięcioletni jubileusz dorocznych kawalerskich majówek.

Zebrano się o 4 nad ranem na bulwarze przy moście, zkąd krypą wielką pojechano do Zerzna.

W drodze podwójny kwartet męzki pod kiernnkiem pana Adolfa Szczygielskiego, wykonywał wiele pieśni chóralnych męzkich.

Krypę zdobiła wielka flaga błękitno biała, symbol kawalerskiej swobody. W uroczystym marszu w kilkanaście rzędów wkraczano do Zerzna, zkąd wyruszono do poblizkiego lasu na zabawę, która niezwykle urozmaicona przeciągnęła się do zmroku. Między innemi odbył się konkurs na napisanie humoreski.

Sędziami byli wszyscy obecni.

Największą ilość głosów otrzymał utwór pod tytułem „Szal... ani mrumru!...” opatrzony godłem: „Swięć się, święć się, wieku młody..” któremu też jednomyślnie przyznano pierwszą nagrodę w postaci medalu srebrnego z napisem: „Laureatowi — koledzy majówkowicze”.

Po rozpieczętowaniu koperty okazało się, iż autorem humoreski jest pan Adam Koziarski.

Z kolei odbyły się wyścigi piesze z nagrodą w przedmiocie.

W czasie zabawy humor i swoboda panowały niewymuszone.

Posypały się jak z rogu obfitości mówki, toasty i życzenia wierszem i prozą. Pito zdrowie nieobecnych, w skutek regulaminu... dam, za któremi tęskniono bardzo.

Gry towarzyskie, śpiewy chóralne i dwukrotna przejażdżka na koniach dopełniła zabawy.

Na zakończenie odczytano sprawozdanie z dziesięciolecia kawalerskich majówek, ułożone przez pana Michała Sznycera. Okazało się z niego, iż pierwsza majówka przypadła w roku 1879. Uczestników majówki te liczyły 50. Konkursy literackie odbywały się co dwa lata.

Ponieważ w pomienionym okresie czasu, połowa przeszło wstąpiła w związki małżeńskie, lub wyjechała w świat za chlebem, zapadła uchwała za zgodą pozostałych kawalerów, przerwania nadal podobnych zabaw, gdyż pozostali majówkowicze, z bardzo małym wyjątkiem są już szczęśliwymi narzeczonymi.

W końcu dla utrwalenia w pamięci jubileuszowej majówki, postanowiono fotografować się w grupie humorystycznej.

Powrót do Warszawy nastąpił o 10 wieczór.

Patrząc na niektóre rozrywki, którym się oddają w naszych czasach, zwłaszcza warstwy społeczeństwa, roszczące sobie prawo do niejakiej szlachetności i delikatności uczuć, zwątpićby można o tem, że coś bozkiego jest w naturze ludzkiej. Walki byków w Hiszpanii, polowania na szczury, walki kogutów w Anglii i inne tego rodzaju brutalne igrzyska, smutne rzucają światła na sławioną cywilizacyę naszego stulecia. Lecz nie dość na tem. Od niejakiego czasu wszedł w modę i rozszerza się niemal po wszystkich krajach cywilizowanej Europy sport, na który znaleźć nie możemy dość słów potępienia. Tutaj służy za okrutną igraszkę człowiekowi jedno z najsympatyczniejszych stworzeń świata zwierzęcego.

Mamy tu na myśli strzelanie do gołębi, sport znany pod nazwą „Tir aux pigeons”. Szlachetni sportsmeni w następujący sposób obchodzą się z biednym ptakiem: Aby zmusić gołębia do natychmiastowego wzlecenia w górę, wyrywają mu piórka z ogona i posypują zranione miejsce miałkim pieprzem; chcąc zaś przeszkodzić szybkiemu lotowi ptaka, łamią mu wpewnych miejscach kostki. Jeśli gołąb ma się skierować w prawą stronę, wykłówają lub wyciskają mu lewe oko; to samo dzieje się z prawem okiem, jeśli ptak ma wzlecieć na prawo. Jeśli gołąb ma latać bez kierunku, jakby spłoszony, wówczas wykłówają mu obadwa oczy.

Spadające na ziemię ptaki są rozszarpywane przez specyalnie na cel ten wytresowane psy. Cóż powiedzieć na to, że sport tak ohydny z dniem każdym więcej zyskuje miłośników? Jeśli istnieją-ce we wszystkich niemal krajach Europy towarzystwa opieki nad zwierzętami, są bezsilne w obec osób uprawiających tego rodzaju rozrywki, toć obowiązkiem by było parlamentów i sejmów zachodniej Europy, gdzie sport ten najpierw się pojawił, postanowić prawa, zabraniające podobnego okrucieństwa.

Przeciążenie uczniów gimnazyalnych pracą umysłową we Francyi zwróciło uwagę sfer odpowiednich. Utworzyło się tedy w Paryżu pod prezydencyą Juliusza Simon, byłego ministra oświaty, komisya, mająca na celu szersze zastosowanie w szkołach ćwiczeń fizycznych i założenie w okolicach Paryża trzech t. zw. „parków szkolnych”. Dyrektor jednego z gimnazyów p. Godard, znajdując również, iż 11 do 13 godzin pracy dziennie jest dla dzieci o wiele zadużo, postanowił ilość godzin zmniejszyć i wynajął w Jardin d'acclimatation obszerny plac do zabaw, oraz kilka łodzi na jeziorach lasku Bulońskiego dla swoich uczniów.

Ogłoszenie konkursu. Komitet Towarzysta Muzycznego ogłasza konkurs na napisanie libretta do opery pod następującemi warunkami: 1) Libretto w języku polskim winno wypełnić cały wieczór widowiska teatralnego. 2) Treść libretta może być poważną lub komiczną, z wyłączeniem rodzaju operetkowego. 3) Wybór przedmiotu pozostawiony jest w zupełności autorowi, z zastrzeżeniem wymagań cenzuralnych. 4) Utwór premiowany otrzyma nagrodę 200 rub.; następne zaś najlepsze dzieła zaszczytne wzmianki. 5) Prawa autorskie pozostają przy autorze. 6) Termin nadsyłania utworów oznaczono na 1 grudnia r. b., poczem niezwłocznie ogłoszony rezultat konkursu. 7) Dzieła winny być nadsyłane do Towarzystwa Muzycznego pod zwykłemi warunkami konkursowemi. Na sędziów konkursu zaproszono pp.: Faleńskiego, Jenikego, Karłowicza, Kozieradzkiego, Rapackiego, oraz członków komitetu Towarzystwa: Heztza, Müchheimera, Noskowskiego, Ostrowskiego, hr. Rzyszczewskiego, Konstantego, Skarżyńskiego i Wiślickiego.

W zeszłym tygodniu zainteresowała wielce okolice Nalewek śmierć Herszka N., ulicznego handlarza, uważanego przez wszystkich za bardzo biednego, a tymczasem okazało się, iż zmarły pozostawił w listach zastawnych, złocie, drogich kamieniach i gotówce majątek około 80,000 rs. Do ostatniej chwili N. nie porzucił brudnej kapoty i worka, żywił się wraz z rodziną chlebem, cebulą i śledziem. Zawsze narzekał, a przed świętami prosił znajomych i krewnych o pomoc, tłomacząc się, iż nie ma za co przyrządzić świątecznego jadła.

Nawet żona nie wiedziała o majątku posiadanym przez męża, który dopiero w chwili skonu oznajmił, jaki skarb posiada ukryty w sienniku.

Obecnie współrodacy upominają się o zwrot zasiłków, udzielonych zmarłemu na święta.

Przypomnienie. Petersburgski „Swiet” przypomina, iż dnia 14 Czerwca r. b., przypada 80-letni jubileusz manifestu cesarza Aleksandra I, który raz na zawsze zabronił sprzedawać w Rossyi ludzi na rynkach i targowiskach publicznych.

Na obchód 800-letniego jubileuszu wszechnicy bolońskiej przybył król włoski, królowa i następca tronu. W całem mieście panuje niezwykły entuzyazm. Uroczysty wjazd przedstawicieli innych uniwersytetów włoskich wywarł wielkie wrażenie. Pochód otwierało 40-tu studentów konno. Na wozie, ozdobionym wstęgami i ciągnionym przez cztery białe byki, jechała następnie olbrzymia beczka pełna wina, ofiarowana przez studentów turyńskich; na drugim wozie, śród róż, spoczywał podarunek uniwersytetu z Pawii, wielka forma sera parmezańskiego i podarunek politechniki medyolańskiej—ciasto olbrzymich rozmiarów. Dalej postępował dar uniwersytetu z Padwy, wół przystrojony wstążkami; Bachus, nimfy leśne i Ceres na łożu z kłosów zakończały pochód.

Podarunki złożono w uniwersytecie, gdzie pozostaną aż do wielkiej biesiady studenckiej. Na uroczystem przyjęciu studentów wszechnic włoskich i obcych, które się odbyło na wielkim dziedzińcu uniwersytetu, przemawiali po prezesie studentów Bolonii, przedstawiciele uniwersytetów: ateńskiego, berlińskiego, lipskiego, rzymskiego i parmeńskiego.

Podczas prezentacyi studentów rzymskich, niemieccy powitali ich dobytemi szablami i rozległy się głośne okrzyki: „Niech żyje nietykalny Rzym!” Po skończonem przyjęciu studenci z chorągwiami swemi, śród towarzyszących im z entuzyastycznemi okrzykami tłumów, przeciągnęli przez miasto i udali się na dworzec dla powitania delegowanych uniwersytetów i fakultetów francuzkich.

Widok, jaki przyjęcie to przedstawiło, trudnym jest do opisania, taki panował zapał, takie urządzano owacye. Studenci niemieccy wsiadali do powozów razem z francuzkimi i trzymając się pod rękę przejeżdzali przez miasto. Entuzyazm wzrósł do tego stopnia, że studenci włoscy wyprzęgli konie i sami ciągnęli powozy.

Ruska pantomina w Paryżu. Przed sześciu laty generał Skobelew zyskał sobie rozgłos w Paryżu, wzniósłszy toast pełen sympatyi dla Francyi. Bohater z pod Plewny nie przypuszczał, że imię jego stanie się kiedyś bardziej jeszcze popularnem we Francyi przez — pantominę. Istotnie przedstawiają obecnie w Hippodromie paryzkim sztukę mimiczną, pod tytułem „Skobelew”. Jestto wierne oddanie typów, miejscowości i ubiorów Rossyi. Muzyka złożona jest z motywów narodowych. W pierwszym akcie jest wierny obraz stepu oświetlonego bladem światłem księżyca pogrążonego w śniegu: sanie przebiegają go w różnych kierunkach. W innych odsłonach przedstawiono jeden z fortów Plewny, który wojska Skobelewa zdobywają z prawdziwie wojowniczym zapałem i kanały

Newy w Petersburgu z tysiącem prześlizgujących się po nich łyżwiarzy.

Reżyser Hipodromu, p. Houcke, odbywał podróż do Rossyi, aby zbadać na miejscu typy i krajobrazy. Artyści ucharakteryzowani są wybornie. Sztuka budzi wśród publiczności wielki zapał i ma zapewnione powodzenie.

**Połów pereł w zatoce Meksykańskiej.** Ludność Meksyku zaczyna zajmować się połowem pereł w zatoce Meksykańskiej. Wielu przedsiębiorców poświęca obecnie na cel ten znaczne sumy w nadziei zostania łatwym sposobem milionerami. Perły znajdowane we wspomnianej zatoce, mają być niezwykle wielkie i czyste. W Grudniu wydobyto tam perłę, ważącą podobno 75 karatów i zaraz na miejscu sprzedano ją za bezcen, bo za 14,000 dolarów.

Muszel z perłami ma tam być niezwykła obfitość. Jeżeli to prawda, cena pereł niezawodnie wkrótce się obniży, zwłaszcza, że i tak wychodzą już z użycia, nawet u żydów, których żony stroiły się niemi do niedawna.

Jakaś skromna panienka wchodząc z ulicy na chodnik, nagle potknęła się i upadła. Zerwawszy się natychmiast na nogi, w bramie do której weszła, aby ubrania poprawić, spojrzała mimowolnie na stróża i ujrzawszy uśmiech na jego twarzy, zawstydziła się i zarumieniła z uszami.

— I pocóż to panienka na mnie spojrzała. Jabym udał, że przewrotu nie zobaczyłem, a panienka nie wiedziałaby, że się z niego uśmiechnąłem.

* * *

Recepta na bankructwa. Jeżeli się zdarzy kiedy, jak utrzymuje prawo chińskie, aby który z banków chińskich zawiesił wypłaty, tedy wszystkim urzędnikom i członkom administracyi tegoż ścinają głowy, które następnie wraz z księgami banku wrzucają gdzie do zapadłego kąta. Ma to być środek jedyny od 500 lat bowiem nie było w Chinach ani jednego bankructwa.

* * *

Nagrobek! Tu spoczywa nieodżałowany N. N., *niegdyś* dobry mąż, ojciec i obywatel.

## RÓŻNE MYŚLI.

Więcej, niż myślisz, zobowiązuje to słowo: małżonek i miłość jest często owocem małżeństwa.

*Molièr.*

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyj nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc śpieszniejszego wykonania objawionego żądania.

## PRZYJACIEL DZIECI

numer 25 wyszedł z druku i zawiera:

Podróż Mickiewicza. — Dwa kłosy (wiersz). — Wspomnienia z podróży Jana Grudziaka po Ameryce (z drzeworytem). — Grajek (z drzeworytem). Kolonista niemiecki (z drzeworytem). — Czyny nauczające. — Dwie siostry. — Z prawdziwych wydarzeń. Dodatek: Rozmowa Józi z Babcią. — Ptaszek sierotka (wiersz). — Słoń (Elephas) (z drzeworytem). — Staś Spartanin (wiersz). — Wiewiórka. — Henia (wiersz). — Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

# OD REDAKCYI.

# TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

**w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami, przypominamy zatem Szanownym Prenumeratorom, że czas już jest ponowić prenumeratę.**

**Cena prenumeraty wynosi: W Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. Na prowincyi z przesyłką pocztową: kwartalnie rs. 2 kop. 50; półrocznie rs. 5; rocznie rs. 10.**

# PRZYJACIEL DZIECI.

**Pismo illustrowane dla młodzieży i małej dziatwy,**

**wychodzić będzie i w kwartale przyszłym pod temi samemi co dotąd warunkami.**

Cena prenumeraty wynosi: W Warszawie Kwartalnie rs. **1.** Na prowincyi z przesyłką pocztową: Kwartalnie rs. **1** kop. **25.** Półrocznie rs. **2** kop. **50.** Rocznie rs. **5.**

Adres: **J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Chmielna Nr. 26 nowy.**



Дозволено Цензурою, Варшава, 8 Іюня 1888 г. **Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego**, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy)

**Dodatek.**